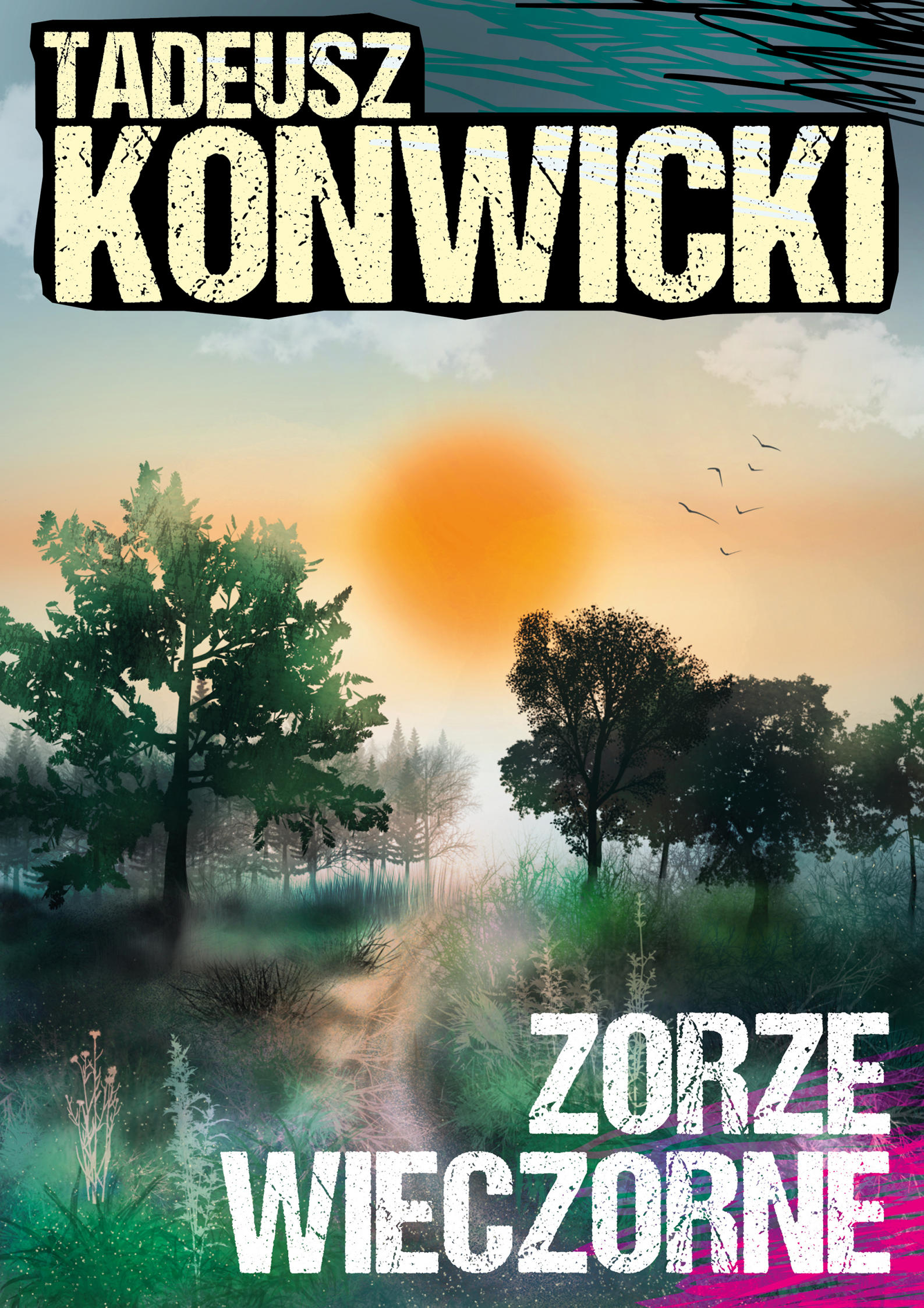




TADEUSZ KONWICKI

ZORZE WIECZORNE

Tadeusz Konwicki

ZORZE WIECZORNE

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-85-3

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa (2010),
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Alfa, Warszawa 1991

Projekt okładki: Olga Bołdok

Ja nie umiem i nie lubię pisać po polsku. Moje książki to pobożowiska dramatycznych walk z polszczyzną.

Ale przecież nie znam żadnego innego języka.

*

Słowo. Nieraz już biadałem nad zagładą słów. W XX wieku mordowano masowo nie tylko ludzi. Słowa także uległy bezlitosnej eksterminacji. Słowa torturowano, palono, gazowano, słowom wylupiano oczy, łamano kości, poddawano je zbrodnictwom eksperymentom medycznym. Słowa były wypędzane na wygnanie, słowa więziono albo zmuszano do współpracy z tajnymi policjami. Słowa zrzucano ze skał lub zniewalano do wyrzeczenia się tożsamości. Słowa zgwałcone, splugawione, wymóżdżone, słowa wytarzane w rynsztokach czy na śmietnikach. Nie tylko ideologie oraz reżymy były totalitarne. Totalitarne okazały się brukowe popołudniówki, fabryki bestsellerów, wielkie kampanie reklamowe, a także głośniki telewizyjne czy radiowe.

Nie lubię słów. Jeśli któregoś muszę użyć, dokonuję przedtem drobiazgowych oględzin. Obtlukuję najpierw z łajna i rdzy. Potem nastawiam im kości, wtłaczam tlen do płuc, podrywam na nogi i czekam, aż nabiorą życia. Oczywiście nie dzieje się to tak długo, jak opisuję ten proceder. Cała akcja trwa błyskawicznie w pobudzonych bitach mojego mózgu.

Nie lubię słów. Już nie mam do nich zaufania. Nażyłem przez lata wiele uprzedzeń. Stałem się podejrzliwy i wszystkie one stłoczone w zdaniach cudzych i moich wydają mi się brzydkie, rachityczne, niezdolne do uniesienia myśli czy uczucia.

Jak stroiciel fortepianów wybierałem słowo i dociosywałem się w nim ostatecznej i jednoznacznej treści, umieszczałem je w wierszu, to znaczy w pustej przestrzeni pełnej tajemniczości, i ono odzywało się wtedy jak dzwon i jego głos brzmiał całą skalą swego dźwięku, budził w pustce kolejne echa i zaciął długo jak życie boskiego stworzenia. Ale i poezja zabija słowa. Uśmierca je przez natłok słów. Jest za dużo poezji na świecie, a w niej za dużo słów.

*

Znany krakowski tygodnik „Przekrój” podaje za jakimś polskim czasopismem następujące ogłoszenie:

„Grono miłośników erotyzmu-oglądaczy pozna małżeństwo lub parę pokazywaczy”.

Oto teatr sprowadzony do swojej pierwotnej istoty. Akt kopulacyjny pokazywany przez aktorów-pokazywaczy i katharsis widowni, czyli grona oglądaczy. Potem można obudowywać i rozbudowywać ten rdzeń misterium. Można dodać jakieś ważne przeszkody, które retardują przygotowania do kopulacji, a można też wszystkim kazać śpiewać, w końcu można nawet dorzucić girlsy.

Wszyscy jesteśmy oglądaczami. Ktoś nas wyposażył w tę skłonność, może ewolucja, może opatrność. Codziennie w milionach sal teatralnych, kinowych, koncertowych, kabaretowych, burdelowych oglądamy pokazywaczy.

Może i ja jestem jednym z pokazywaczy?

*

Teraz napiszę zdanie: „F. wyszedł na ulicę i wsiadł do samochodu”. Gdybym je miał napisać w powieści albo opowiadaniu, czułbym się bardzo nieszczęśliwy. Nawet

w tym momencie, żeby umilić sobie napisanie takiego zdania, wybrałem literę F. dla skrótu imienia albo nazwiska. To F. jest ciekawsze, bardziej intrygujące niż P., R. czy W.

Owo zdanie irytuje mnie przez swoją oczywistość, przez najprościej podaną informację. Nie lubię, nie mogę, nie potrafię pisać takich zdań, a przecież z nich składa się normalna powieść czy zwykła nowela. Bardzo często takie zdanie jest konieczne dla zrozumiałości historii, więc gdybym go musiał użyć, chciałbym zaraz tę informację czymś ubarwić, wyposażyć w niespodziankę, albo rozwidnić jakąś szczeliną, w której mignęłoby coś niepokojącego.

Nie, ja nie jestem opowiadaczem i nie lubię słuchać czyichś opowiadań. Bardzo często usiłowałem wejść w skórę opowiadacza, przyjrzeć się uważnie, jak on uprawia swój proceder, od czego zaczyna i na czym kończy, jak unika pedanterii w opisie i jak wyszukuje kulminację psychiczną, jak prowadzi narrację i jaką przygotowuje puentę. Ale szybko się nudziłem tymi badaniami. Ja jestem z innego gatunku. Z innej rasy.

Nie jestem opowiadaczem. Ja toczę walkę z bliźnimi. Przy pozorach uprawiania prozy ja zwykłych ludzi zaczepiam na ulicy, chwytam ich za poły płaszcza, za włosy, za gardła z początkami choroby Basedowa. Czego chcę od nich? Czy współczucia? Czy chcę ich nawrócić? Czy może pragnę, żeby dali jakiś znak, że nie jestem samotny?

*

Mam zaszczyt pochodzić z tego zakątka Europy, który dawniej nazywano Wielkim Księstwem Litewskim. Jest to kraina bardzo dziwna, pełna tajemnic, gdzie do dziś blakają się po resztkach puszczy i po ostatkach rojstów widma starych bogów pogańskich, a także upiory najnowszych zbrodni i masowych mordów. Tam aż do współczesnych czasów czci się drzewa jako święte i niektóre rzeki nazywa się świętymi. Ten zaścianek europejski położony jest w osobliwym miejscu, na uroczysku, gdzie do niedawna jeszcze stał lodowiec, gdzie kaprys geologiczny zostawił wiele tajemnic we wnętrzu ziemi, gdzie telluryczne emanacje jeszcze teraz rządzą ludzkimi losami, choć prawie wszystko stratował tam realny socjalizm.

Ale ja chciałbym wspomnieć o bardzo dziwnych mieszkańcach tego księstwa, które żyje już tylko w pamięci niektórych ludzi. Chociaż ostatnio coraz częściej różni badacze kierują swoje teleskopy, detektory i mikroskopy w tę stronę. Wielkie Księstwo Litewskie ma szansę na zmartwychwstanie oraz długi żywot w wyobraźni, a także we wdzięcznej pamięci całych pokoleń skłopotanej i zmęczonej Europy. Lecz to już inna historia, do której może jeszcze powrócę, jeśli nie powrócą przede mną inni odkrywcy zagubionych kultur i zapomnianych skromnych cywilizacji.

Ja chciałbym powiedzieć kilka słów o dziwakach i oryginałach tak obficie rodzących się na tej ziemi, z której dzień i noc biją w niebo sztychy niepokojącego światła i strzelają gejzery niesamowitego promieniowania.

To się zaczęło już dawno. Pamiętam, że czytałem kiedyś o jakimś Radziwille, który w swoich dobrach wielkości sporego województwa postanowił wprowadzić judaizm. Po prostu przestudiował wszystkie religie świata oraz najbardziej egzotyczne wierzenia i doszedł do wniosku, że religia mojżeszowa jest bezkonkurencyjna. Wobec tego wygnał ze swego terytorium wszystkich księży, potem zabrał się do nawracania gwałtem swoich poddanych na judaizm.

Innego Radziwiła, Karola „Panie Kochanku”, wielu współczesnych uważało za półgłówka. Mnie się on wydaje genialnym prekursorem surrealizmu. Chcę tu powtórzyć za dzisiejszym historykiem taką oto anegdotkę o księciu „Panie Kochanku”, zwanym w ten sposób od swego ulubionego zwrotu.

Otóż książę lubował się w opowiadaniach o swoich rzekomych podróżach. Pewnego razu opisywał żeglugę po morzu bodajże Kaspijskim.

— Zobaczyła mnie tam pewna syrena — powiada — i zakochała się śmiertelnie.

— No i co, no i co? — dopytują się dworzanie.

— No i nic. Urodziło nam się milion śledzi.

Z tej ziemi wyszedł słynny prałat papieski, ks. Walerian Meysztowicz, który zaczynał od kariery kawalerzysty, tu urodzili się Mackiewiczowie, Cat i Józef. Cat-Mackiewicz w którejś ze swoich książek pisze o słynnej tamtejszej szlachciance, matce wielu urodziwych córek, z których jedną wydała za księcia Zubowa, ostatniego faworyta Katarzyny II, cesarzowej rosyjskiej. Powiada więc Mackiewicz, że owa Walentynowiczowa miała wieś i dwadzieścia siedem dusz. Dwadzieścia siedem dusz toż to groteska — dodaje litując się nad ubóstwem rodaczki.

Stamtąd pochodził także wspaniały reportażysta Melchior Wańkowicz, który szokował swoich biesiadników gigantycznymi jajami, rzekomo strusimi, jakie sam przyrządzał ukradkiem. A przecież trzeba pamiętać, że spod Trok koło Wilna wywodził się ojciec Stanisława Ignacego Witkiewicza, znanego na całym świecie jako Witkacego. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że i Gombrowicz powoływał się na swój żmudzki rodowód.

A Miłosz? Wnętrze jego czaszki wypełnione jest odcedzoną europejskością, rozpatrywaną z czcią na uniwersytetach wszystkich kontynentów. Ale przecież w tym człowieku buszują wszystkie diabły litewskie i wszystkie demony znad Dniepru i Niemna.

Trzeba również pamiętać o pysznej postaci Marszałka Piłsudskiego. Słyszeliśmy o nim co nieco jako o strategu, polityku czy pisarzu. Ale czy przyjrzelście się bliżej temu ostatniemu z oryginałów i dziwaków litewsko-polskich czy polsko-litewskich. Będę zawsze pamiętał scenkę opisaną przez któregoś z jego adiutantów. Piłsudski siedzi samotnie w swoim gabinecie i rozmawia nie wiadomo z kim. Może z duchami postaci historycznych, może ze swoimi nieżyjącymi rodzicami, a może po prostu, najzwyczajniej z Panem Bogiem. Gada tak w pustkę swoim bardzo wileńskim akcentem i wali pięścią w biurko.

Mnie się bardzo podoba, że Marszałek do swego otoczenia w momentach irytacji zwracał się: „wy, Polacy”. A kiedy już był bardzo rozeźlony, mawiał: „wy priwiślincy”.

Dziś już nie ma oryginałów. Dziś są tylko wariaci.

*

Od Władysława Kopalińskiego, pisarza i leksykografa (nie wiem, czy to najwłaściwsze słowo, ale bardzo mi się podoba), więc od Władka usłyszałem następującą anegdotkę: starego grenadiera napoleońskiego po latach rodzina, a więc dzieci i wnuki, męczą, żeby powiedział, jak było pod Moskwą w 1812 roku. Na to staruszek-grenadier: — nic nie pamiętam, nic nie pamiętam. Pamiętam tylko, że było bardzo gorąco.

I ja siebie widzę w podobnej sytuacji jak napoleoński grenadier. Właściwie już niczego nie pamiętam. Czasem ktoś mi przypomni moje przed laty zachowanie albo mój postępki i ja słucham tego niczym o obcym człowieku. Co ciekawsze, nie pamiętam nie tylko swoich grzesznych postępów, ale też i dobrych, którymi można by było czasem się chlubić.

Kiedy zacząłem pisać? W domu uczono mnie początków, do szkoły poszedłem od razu do trzeciej klasy. Więc w domu, w ogrodzie albo na łące musiałem pewnie

pisać to, co piszą wszystkie dzieci, a więc „Ala ma kota”, „to jest kot Ali”, choć w dzieciństwie nie spotkałem nigdy żadnej Ali.

Wydało mi się, że pierwszym moim tekstem z pewnymi pretensjami literackimi było wypracowanie, które napisałem na egzaminie wstępnym w Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Wilnie. Parę razy już wspominałem o tym słynnym nie tylko w Wilnie gimnazjum i liceum. Ale mam ochotę coś o nim powiedzieć i teraz. Mieściło się ono przy ulicy zwanej Mała Pohulanka, na krawędzi stromego zbocza porośłego zdziczałymi ogrodami, w których zapewne skrywała się nieznana mi szkoła żydowska, bo na pauzach uczniacy rzucali w ten gąszcz kamieniami, a i stamtąd czasem nadleciał kawałek cegły albo nieduży brukowiec. Nasze gimnazjum musiało mieć jakieś metafizyczne właściwości choćby z tego względu, że gdziekolwiek bym się ruszył, czy to do Ameryki, czy do Azji, czy nawet do Australii, wszędzie spotykam elewów tej szkoły. Kiedy przeglądam nekrologi w warszawskich gazetach, okazuje się, że co trzeci nieboszczyk chodził do naszej budy na Pohulance.

Otóż zdając egzamin do tej dość elitarnej szkoły i nie widząc żadnych szans na zdanie, tak się spiąłem przy pisaniu wypracowania, tyle zmobilizowałem w sobie słabych mocy, tak uderzyłem w sentymentalizm, że musiało to skruszyć kamienne serca belfrów. Pamiętam, o dziwo, nawet temat wypracowania: „Co może opowiedzieć ławka szkolna?”. Jak się zdaje, moja ławka opowiedziała o mnie, biedaku z Kolonii Wileńskiej, i zrobiła to tak przejmująco, że srogi profesor Burczyk, który się potem okazał tyranem i okrutnikiem w dziedzinie łaciny, że profesor Burczyk, a drżała przed nim cała szkoła, że profesor Burczyk odnalazł mnie w ogromnej zgrai zdających pyszałków wileńskich, zaprowadził do ustronnego kąta i jął wypytywać o szkołę powszechną, o warunki domowe, rodzinne, o moje zainteresowania. Ja pewnie pojechałem utartą i pewną drogą swego sieroctwa. Chyba nawet trochę rozrzewniłem srogiego belfra i w ten sposób stałem się uczniem owego gimnazjum, w co przedtem nikt nie chciał uwierzyć. I to był mój pierwszy sukces literacki.

Ktoś mi niedawno przypomniał, że miałem też pewne osiągnięcia w trzeciej klasie gimnazjalnej, kiedy w 1940 roku zajęli Wilno Rosjanie. Tu trzeba dodać, że w odróżnieniu od innych miast europejskich, którym czas leciał monotennie pod okupacją niemiecką, my w Wilnie wojnę przeżyliśmy dość żywo, bez chwili nudy. W 1939 roku, po przegranej wojnie z Niemcami, zajęli nas Litwini, jeszcze wtedy niepodlegli. Ale przedtem przez kilka tygodni byliśmy pod okupacją Armii Czerwonej. W 1940 roku Stalin przyłączył Litwę do Związku Radzieckiego i my na chwilę staliśmy się obywatelami radzieckimi. Ledwo zdążyliśmy się oswoić z tą sytuacją, już w 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-radziecka i Wilno zajęli Niemcy, którzy również nie zagrzali tu miejsca, bo wczesnym latem 1944 już musieli uciekać, oddając Wilno wracającej Armii Czerwonej.

Ale zamiast się chwalić, wspomnę o moich studiach w trzeciej klasie gimnazjum roku szkolnego 40/41. Otóż przypomniał mi mój kolega z ławy, znany scenograf filmowy Andrzej Borecki, że w tym czasie doznałem jakiejś iluminacji literackiej, bo prawie każde moje wypracowanie czytał całej klasie ówczesny polonista, pan Wołoszyn. Przyszedł on do naszej klasy w czasach radzieckich i wszyscy po kątach szeptali, że to przedwojenny komunista. My byliśmy usposobieni antyradziecko, a może nawet wręcz reakcyjnie, więc dokuczaliśmy poloniście dość często, a może nie tyle jemu, co władzy radzieckiej. Bo on budził naszą skrywaną sympatię. Przychodził do szkoły w ciemnym garniturze i w białej koszuli, co wzbudzało w nas jakiś lękliwy i posępny nastrój. Przy czarnych włosach miał woskowożółtą twarz, a do tego bardzo często kaszlał i spluwał do śnieżnobiałej chusteczki. Był chory na gruźlicę.

Więc ten nasz profesor coś sobie upatrzył w moich wypracowaniach i jął je czytać z aprobatą zrazu trochę zawistnym kolegom, a później wdzięcznym słuchaczom. Nic nie pamiętam, nic nie pamiętam, ale pamiętam, że uprawiałem wtedy z upodobaniem formę pastiszu, a może stylizowałem te felietony na dawne formy literackie, a najpewniej chyba uprawiałem zwykłą publicystykę sprowadzając zadaną tezę do absurdu. Jednym słowem robiłem to, co dziś robią renomowani felietoniści krajowi i zagraniczni.

Tu sobie, nie wiem czemu, przypomniałem naszego prefekta z wcześniejszych lat, księdza zwanego przez nas pieszczotliwie „Pietią”. Otóż ksiądz „Pietia”, tęgi, w drucianych okularach na ogromnym nosie, ze szczecina szpakowatych włosów czesanych na jeża, otóż „Pietia” posługiwał się taką polszczyzną, że ja przy nim mogłem uchodzić za Mazura albo nawet Krakowiaka.

Mieliśmy obowiązek uczestniczyć w niedzielnych mszach w kaplicy gimnazjalnej. Ja dojeżdżałem pociągiem do szkoły, wobec tego w niedzielę często zawodziłem spodziewania księdza „Pietia”. I nierzadko w poniedziałek czcigodny prefekt otwierał swój czarny tajemniczy notesik, patrzył na mnie znad drucianych okularów i powiedział dobitnym, rozlewnym głosem:

— Wot tobie pałeczka.

I stawiał mi pałę w swoim kajeciku.

Pokazałem na chwilę jak na starym zdjęciu postać zacnego prefekta. Ale chciałem rzec na końcu, że te moje pierwsze sukcesy literackie były też ostatnimi na wiele, wiele lat, które majaczyły niejasno przede mną.

*

Jest druga połowa lutego. Żyję dosyć długo, ale takiej zimy nie pamiętam. W południe termometry pokazują plus czternaście, piętnaście, szesnaście stopni Celsjusza. Ani śniegu, ani deszczu. U nas na Wileńszczyźnie o tej porze trzymały najsroźsze mrozy, do trzydziestu stopni zimna. W taki czas byliśmy zwalniani ze szkoły. Szaleństwo nart. Biegi, zjazdy, skoki. A pod wieczór wszystko na nas zamarało. Wracaliśmy do domu w blaszanym przyodziewie.

Kiedyś opisywałem jeden z wariantów końca świata. Z powodu braku wody. Śmierć planety w wyniku odwodnienia. Ale takich wariantów może być wiele. Dziury ozonowe, efekt cieplarniany, nie do zatrzymania przypadkowy wybuch atomowy, nasza biologiczna degeneracja. A oprócz tego tysiąc innych możliwości, których jeszcze nie znamy.

Podobno każdy człowiek przychodząc na świat ma już zakodowany rodzaj śmierci jemu przeznaczony. Czy nasza Ziemia nosi w sobie i na sobie wyznaczony przez opatrność nieodwołalny wyrok?

Za oknem szaleje wiatr wiosenny, a może jeszcze jesienny. Lecą z dziwnym pośpiechem z zachodu na wschód nawet niebrzydkie chmury, które dopiero co, może jeszcze nad Atlantykiem, były przystojnymi obłokami. Ptaki pokrzykują niespokojnie w czubach drzew wypełnionych kłębami jasnożółtej jemioli. Pewne krzaczki dały się już nabrać zwariowanej pogodzie i obsypały się nieśmiałymi listkami. Te ostrożniejsze czekają udając jeszcze zimową śmierć.

Wszyscy źle śpią i ja źle śpię. W jaki sposób wyemancypowaliśmy się na tej marnej planecie i zrobiliśmy skromną karierę? I co my mamy z tej kariery?

*

Na widok białej, czystej kartki papieru i pióra uderza mi gorąco do głowy, wilgotnieją skronie, ciarki lecą po plecach. Przeżyłem wojnę i widziałem wiele rzeczy, które mogły przestraszyć człowieka. Ale czystej kartki i pióra boję się najbardziej.

Czytam z czcią zwierzenia różnych literatów o tym, jak ciężko przychodzi im pisanie. Że harują od rana do nocy, że poprawiają dziesiątki razy, że przepisują po stokroć. Ja im zazdroszczę, ja bym przepisywał tysiąc razy, żeby mi wyszła „Czarodziejska góra” albo przynajmniej „Winnetou, czerwonoskóry dżentelmen”.

Lękam się papieru i pióra, tak jak saper boi się leżącej przed nim miny. Kiedy wreszcie muszę zabrać się do pisania, bo wypada coś zrobić, odczuwam tremę już kilka dni przedtem. Budzę się po nocach z krzykiem, wszystkie przedmioty wypadają mi z rąk za dnia, zamiast czapki usiłuję włożyć na głowę sweter, w uszach grają jakieś świerszczyki od podwyższonego ciśnienia i zaczynam mówić bełkotliwie i nikt nie rozumie, o co mi chodzi.

Myślę, że z takim samopoczuciem sędziwy stary kawaler wchodzi do sypialni młodziutkiej żony w noc poślubną. Ja trzęsę się ze strachu, że coś się stanie, co się już nie odstanie. Że uruchamiam coś, czego nie da się odwołać. Że wchodzę na ring, gdzie bardzo rzadko odnoszę zwycięstwa, gdzie najpewniej czeka mnie nokaut.

*

Jeszcze o słowach. O słowach, z których składa się polszczyzna, mój mały, prywatny czyściec.

Jak już wspomniałem, są słowa ładne i brzydkie, pojemne i ciasne, dźwięczne i głuche, pachnące i lekko cuchnące, podniosłe i skromne, wesole i posępne, głupkowate i majestatyczne. Są słowa płaskie jak deska, przenoszące tylko informację pozbawioną wszelkiego zabarwienia czy to intelektualnego, czy to emocjonalnego. I są słowa łaskoczące naszą wyobraźnię, pobudzające ekrany pamięci, uruchamiające podświadomość. Są też słowa-klucze, które otwierają w ciemności błyski jakichś scenek, drobnych wydarzeń, przelotnych incydentów.

Ale do tych słów trzeba się najpierw dostać. Należy je obtłuc z rdzy, błota, łajna. Musi się je wyprostować, nasycić powietrzem. I poczekać, aż nabiorą koloru. A później można jeszcze osiągnąć wiele nowych znaczeń pomocniczych, nieoczekiwanych dźwięków i raptownych kiksów emocjonalnych przez szczególne uszeregowanie tych słów. Składnię wszyscy mają w uchu. Stała się ona automatyczna przez wielokrotność powtarzania. Poeci „Skamandra” bawili się na wieczorach poetyckich swoich rywali zgadywaniem rymów w czytanych wierszach. My też odgadujemy dalszy ciąg zdania po początku, po budowie tego początku, po jego zapowiedzianym rytmie dźwiękowym, a często nawet myślowym.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI